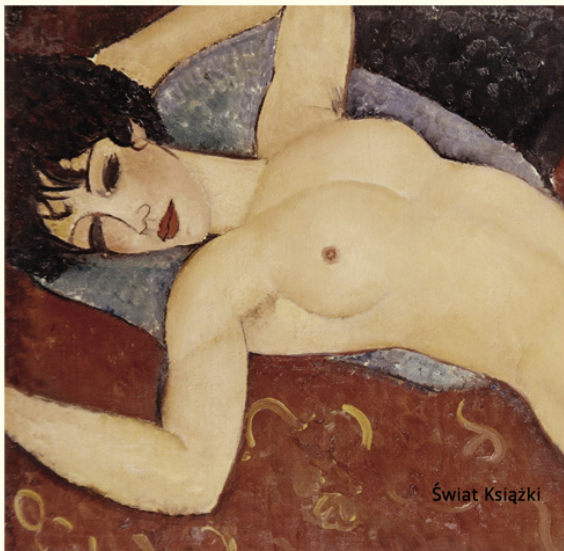


nowa
proza
polska

Manuela
Gretkowska
Miłość po polsku



Świat Książki

Projekt graficzny serii
Małgorzata Karkowska

Ilustracja na okładce
Fragment obrazu Amedeo Modiglianiego „Akt leżący”
© Burstein Collection/CORBIS

Redaktor serii
Paweł Szwed

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Jadwiga Piller

Copyright © by Manuela Gretkowska 2010
Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2010

Świat Książki
Warszawa 2010

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10
02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-2088-0
Nr 45030

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67

mojemu Piotrowi

1

Jestem prawdopodobnie sobą. Mam problem z przedstawianiem się, zonglowaniem swoimi wizytówkami: Miłosz Kencki, brzmi jak wydrukowana diagnoza. Kończę 49 lat, połowę tego dostaje się za morderstwo. Nie zabiłem, ale miałem ochotę – Karin, moją szwedzką żonę, kiedy wrzeszczała za mną w drzwiach:

– Spierdalaj, no spierdalaj, wygrałeś! Jeńców się nie bierze, co?!

Trzymała przy sobie nasze przerażone krzykiem dzieci. Wyraźnie widziałem tylko ich rozszerzone źrenice – czarne pinezki, którymi ktoś do ściany korytarza przypiął dwie papierowoblade, rozdarte na pół figurki. Najchętniej wepchnąłbym je z powrotem w pizdę tej babie, do brzucha i zaszył po cesarskim, zaszył też jej usta, żeby nie powiedziała słowa więcej. Od początku nie miałem z nią szans, od zejścia z promu na szwedzką ziemię: twarde dudnienie o skałę, skandynawski granit. Wiedziałem, nie będzie łatwo. Górski plecak, komunistyczny paszport i na kartce adres farmy, tyle miałem. Za mało kasy, słaby angielski, kilkanaście szwedzkich słówek.

Z początku myślałem, że Karin do mnie śpiewa. Śpiewną recytacją dań wyciąga napiwek od nowego klienta.

Do knajpy w miasteczku, gdzie dorabiała, wyrwałem po dwutygodniowej harówie w polu, błocie i kapuście, żeby jak człowiek zamówić piwo. Zjeść przy barowym stole coś innego niż odmrażane pulpety ze słoika. A ta rudoblonde, piegowata dziewczyna uwodziła mnie. Śpiewem i piersiami wielkości nierozwiniętych główek kapusty, jakie, ryjąc codziennie o szarym świecie w glinie, macałem w poszukiwaniu większych. Zanim się rozwidniło i trafiałem kapuchą na taczki. Tyrając, myślałem o kasie, seksie i... seksie. 50 kilometrów na południe była Kopenhaga, stolica wyzwolonego świata. Upokorzony robotą, wyobrażałem sobie udział w „obserwacji uczestniczącej”: eksperymencie polskiego studenta, prawie absolwenta psychologii w warunkach szwedzkiej wsi. Równie dobrze mogłem być dżdżownicą znającą sanskryt. I dla tej dżdżownicy nuciła w wiejskim barze skandynawska piękność. Przewiercała mnie na wylot, zaglądając przez oczy prosto w jaja. Potem się okazało, że Karin nie śpiewała. Ona mówiła swoim południowym dialektem. Nie znałem takiego zaśpiewu. Do Skanii zabrałem się stopem z Polakami jadącymi maluchem przez Szczecin na jagody, a płacący mi szwedzki prostak tylko chrząkał albo mówił „Milos bra” – Miłosz dobrze. Chociaż tygodniowy zarobek u niego był dwa razy większy od polskiej pensji, nie przyjechałem się dorobić. Miałem ambitniejsze plany. Nie oczekiwałem od życia nagrody pocieszenia – domu i samochodu. Liczyłem na prawdziwy sukces. Najpierw była nim Karin. Mówiła „Wilkomen i Sverije”, przytrzymując w gościnnym kroczu. Na tyłach baru, gdzie spotykaliśmy się w jej służbowym pokoju, pachnącym sosnowym, źle skręconym, więc skrzypiącym łóżkiem, produkcji Ikea.

Zawsze marzyłem o rudej. Włosy łonowe Karin też były rdzawe. Gałązki chrustu ułożone w stos na wzgórk.

Wystarczyła iskra, potarcie dłonią. Miała mleczną skórę. Nawet jej wargi sromowe były białe i niepomarszczone. Widocznie natura oszczędzała na rudych pokrowca. Możliwe, że z tego powodu Karin była szczupłą, mimo grubościstej budowy. Tłuszcz nie zmieściłby się pod jej rozciągniętą do przezroczystości skórą. Napiętą i sprężystą na piersiach. Dzięki temu miałem do nich zawsze dostęp bez cenzury stanika. Zaciskałem je w spoconych dłoniach i podnieconej Karin bladły wtedy usta. Pojawiały się na nich piegi. Ciemniały, gdy szczytowała. Wychodziły spod skóry w miejscach, gdzie ich wcześniej nie było. Może była też ruda w środku. Dlatego sprawiało taką przyjemność wkładanie jej w usta. Zasysała z wprawą i trudno było mi oddzielić zazdrość o tych, na których się wyćwiczyła, od podniecenia jej doświadczeniem. Łykając mnie, czasem się krztusiła i obsypywało ją jeszcze więcej piegów, jakby opluwała się nimi podczas orgazmu. Wystarczyło w nią wejść, nie potrzebowała pieszczot. Rudzi przez cieńszą skórę czują bardziej. Dużo później, po ślubie, przekonałem się, że ona nie czuje nic. Jej piegi były odpryskami rdzy z popsutego wnętrza. Dlaczego wybrała mnie?

– Bo masz wąsy, złote – znalazła najprostszą odpowiedź, to, czym różniłem się od gładkich Szwedów.

Wąsy były u nas wtedy modne. Nosił je i Wałęsa, i bezpieka. Twarzową odznakę męskości, zaangażowania po którejś ze stron politycznego zwarcia. Pomieszało się wreszcie, kto jest nosicielem wąsów, a kto się nimi zaraził od zbyt długich dyskusji podczas przesłuchań albo w pierdłu.

Karin wyczuła, kogo wybrać, przecież kochałem jej kurwstwo. Naiwnie brałem je za różnicę między wyzwoloną Szwecją i tradycyjną Polską. Kiedy się poznaliśmy,

studiowała ekonomię w Sztokholmie. Latem dorabiała u swojego kuzyna, pomagając mu prowadzić wiejski bar. Czysta, pachnąca, kręciła się między stolikami w białym fartuszkuzku zawiązanym nad uniesioną obcasami pupą. W porównaniu z jej wymoczoną od zmywaka dłonią moja czarna, otarta do kości, z gliną za paznokciami była ręką trupa. Żywego trupa. Kończyły się mi już wakacje i wiza. Gdybym wrócił do kraju, nie dostałbym paszportu – po studiach czekało mnie wojsko. Karin zaproponowała ślub.

Małżeństwo odcięło od nas urzędnicze macki obu krajów. Nie czepiały się mnie komuchy ani szwedzkie urzędnicze łajzy grzecznie przesłuchujące, czy żyjemy razem. W sztokholmskim biurze „do spraw emigrantów” nie zadawano nam więcej podchwytliwych pytań o rodzaj używanych prezerwatyw. Mogły być najlepsze, podwójnie hartowane, z laserowym młotem tłukącym plemniki, a i tak zawiodły. Rok po ślubie urodziła się Maria, Eryk dwa lata później. Karin dostała pracę w banku. Za pracowniczy kredyt kupiła wygodne mieszkanie. W nowo urządzonej kuchni obok zwykłego kosza na śmieci zainstalowała ekologicznie osobne pojemniki do wyrzucania szkła, papieru, plastiku. Przydałby się jej pojemnik na niepotrzebnych już facetów. Bez mojej wiedzy nasze małżeństwo stało się związkiem otwartym, otwartą pizdą. – Może dzieci nie są moje? – podejrzewałem. Zwłaszcza Maria, z długą, typowo szwedzką główką. Przestałem mieć wątpliwości, gdy obydwójce poszli do szkoły. Stali się klasowymi przywódcami. W naturalny sposób podbili szwedzkie dzieciaki pomysłowością i energią. Eryk – mały watażka – dowodził zapatrzonymi w niego kumplami. Moje dzieci nie były wyjątkiem. Te z polskim pochodzeniem są najczęściej klasowymi gwiazdami wśród ni-

czym niewyróżniających się Szwedów. Skandynawowie mają genetycznie zakodowaną nieśmiałość. Ich powściągliwość wzięła się z oszczędnego metabolizmu przystosowanego do życia w chłodnym klimacie. Dowiedziałem się o tym jeszcze przed wyjazdem, studiując psychologię. Na miejscu mogłem potwierdzić to własną praktyką.

Pierwsze dwa lata pracowałem w sztokholmskich przedszkolach z polskimi dziećmi. Grupa się dzieliła: szwedzkie dzieci zawinięte kocykami usypiały po obiedzie tam, gdzie dopadła je senność: na dywanie, kolanach czytających wychowawczyń. Polskie maluchy słuchające moich bajek walczyły jak mali powstańcy z opadającymi powiekami. Unosiły bohatercko główki, utrzymując się na powierzchni świadomości. Sen, do którego zresztą nikt ich nie zmuszał, był niezasłużoną karą. Przypomniałem sobie własną mękę obowiązkowego leżakowania w przedszkolu i błagania: – Mamo, powiedz pani, żebym nie spał? Okupiony łzami opór przeciw zakładaniu piżamek po obiedzie. W Szwecji przekonałem się, że był to nasz trwający od dziecka bunt narodowy. Instynktowny protest przeciwko spychaniu w senny niebyt. Genetycznie przekazana trwoga przed trwaniem w letargu rozbiarów.



foto: Krzysztof Opaliński

Manuela Gretkowska debiutowała w 1991 r. powieścią *My zdies' emigranty*. W jej dorobku są także: *Tarot paryski*, *Kabaret metafizyczny*, *Namiętnik*, *Światowidz*, *Polka*, *Europejka*, *Kobieta i mężczyźni*, *Obywatelka*.
Książki Manuli Gretkowskiej tłumaczone były na kilkanaście języków.

Gretkowska znowu niegrzeczna...